

– Nie widziała pani może takiej małej, drobnej blondynki?

Znowu. Długowłosa kobieta na końcu drogi. I pytanie – zawsze jednakie. Początkowo odpowiadałam z uśmiechem, który miałam zarezerwowany dla każdego zabłąkanego przechodnia, pytającego o drogę czy ulicę albo o jeszcze inny potrzebny natychmiastowo obiekt, zakamuflowany pośród drzew małego miasteczka. Potem jednak do uśmiechu dołączyło zmarszczenie brwi, powtarzalność sytuacji bowiem zaczęła wprowadzać niejaki zamęt w codzienności, choć przecież rutynowy bieg zdarzeń powinien raczej uspokajać, budować poczucie słodkiej stabilności. Nic z tego. W moim wzroku coraz swobodniej rozsiadać się poczęła zaintrygowana podejrzliwość, by w końcu zaprosić również do wspólnej biesiady, tymczasem blady jeszcze, lęk. W parę pytań później przydreptało westchnienie, utopione w cichej pobłażliwości. Wymyśliłam sobie, że musi to być kobieta lekko niespełna rozumu, i tak postanowiłam ją traktować.

Wielkoduszny uśmiech, spojrzenie delikatnej przychylności i ewentualnego zrozumienia, jeśliby go w ogóle oczekiwała – oto zestaw, którym zamierzałam kwitować pytanie. I... przyzwyczaiałam się. Może niesłusznie. Może powinnam pomyśleć czasem o kobiecie na końcu drogi i zagłębić serce w jej zmęczonych, niezidentyfikowanego koloru oczach, a nie zapominać niemal od razu, kiedy tylko ją minęłam, prześlizgując się powierzchownie spojrzeniem po smutnej twarzy. Twarzy, w której igrał dziwny przestach, i tylko on czasem do mnie przychodził, w najgłębszych snach. Budziłam się wówczas z bezbrzeżnym uczuciem pustki, mając przeświadczenie, że nigdy już się niczym nie zapełni.

Dzisiaj nieznacznie drgnęłam, gdy do uszu przybiegł stłumiony głos, w którym dosłyszałam po raz pierwszy gorącą iskrę drgającego w upale przygnębienia. Kątem oka dostrzegłam zrytą głębokimi zmarszczkami twarz, a w kolenach czasu płynęło skamieniałe zmęczenie. Może kobieta nie jest szalona, tylko potrzebuje pomocy? Zdruzgotana nieszczęściem, jakiego nawet nie jestem sobie w stanie wyobrazić, staje przy drodze i czeka w nadziei, że los przywiedzie człowieka potrafiącego dojrzeć jej rozpacz, który będzie wiedział, co zrobić, bo ona już się zupełnie zagubiła.

Odwróciłam szybko głowę, zobaczyłam już jednak tylko długie włosy, stapiające się z korą przydrożnych buków. Myśli o kobiecie rozmyły się tak samo szybko, ruszyłam więc dalej, wychodząc z piaszczystej ścieżki wśród wybujających krzewów i traw, by postawić wreszcie nogi na twardej, ziemistej powierzchni. Poczułam się znacznie pewniej i, spoglądając na zegarek, zważym krokiem pomknęłam ku budynkowi przedszkola, gdzie niemal codziennie, na osiem godzin, lokowałam czteroletnią córeczkę.

Stała już w drzwiach, gdy dotarłam do odpowiedniej sali. Wyciągnęła drobniutkie rączki i przytuliła alabastrową buzię do mojej piersi, w której kołatało, popychane dziwną trwogą, serce. Ciało opętał przez chwilę dreszcz niepojętego lęku. Zawsze po dłuższym niewidzeniu, kiedy brałam ukochaną istotkę w ramiona, niepokój obejmował mój umysł i ścisnął go mocno niczym obcęgi. Patrzyłam na bladą twarzyczkę i tak krucho, jakby za chwilę miało się rozpaść na kawałeczki kryształków, niemal przezroczyste ciało. Wielkie, rozgwieżdżone jak nocne niebo oczy wpatrywały się we mnie uważnie, sięgając najodleglejszych głębi, znając każdy niepokój, głaskany teraz malutkimi aksamitnymi dłońmi czterolatki. Miałam wrażenie, jakby anioły powierzyły mi tę małą istotę, która przyszła na świat niemal niezauważenie pewnego pochmurnego ranka. Leżałam wtedy zniechęcona i pełna odrazy do mającego pojawić się lada chwila chłopca. Nie chciałam go. Pragnęłam z całej siły dziewczynki! Ale nosiłam ów ciężar pod piersią, nosiłam i płakałam. On także na pewno mnie skrzywdzi... Nie krzyknęłam ani razu, nie napięłam żadnego mięśnia, a dziecko i tak wydostało się na zewnątrz bez pomocy cesarskiego cięcia. Bez niczyjej pomocy. A mnie było wszystko jedno. Do czasu, gdy usłyszałam krótkie słowo. Dziewczynka!

Przytuliłam swojego aniołka, dziękując za pomyłkę lekarza. Byłam na konsultacji tylko dwa razy, gdyż po oznajmieniu, że urodzę chłopca, nic nie było w stanie zmusić mnie, bym zainteresowała się własną ciążą.

Szłyśmy, trzymając się za ręce, jak najbliżej siebie, by poczuć wreszcie swoją obecność naprawdę. Perlisty głosik haftował powietrze, a ja uspokajałam myśli pętłące się w skołatanej głowie. I wtedy znowu to zobaczyłam. Moją córkę bawiącą się wesoło z małym, smutnym chłopcem. Wyrzucającą szybko słowa, które niczym lśniące perełki z jej oczu wirowały wokół przypadkowego kolegi, a ten jaśniał coraz mocniej, zatapiał się w wartkim potoku słonecznej radości dziewczynki.

Rzuciłam szybkie spojrzenie na Lilijkę, której rączkę trzymałam w dłoni, ale nikogo przy mnie nie było. Chwilowe przerażenie zatargało wszystkimi wnętrznościami, żołądek ścisnął się w jedną parzącą kulę strachu, lecz patrząc na córkę rozmawiającą z chłopcem, podskórnie wiedziałam, że wszystko toczy się ustalonym torem, że tak właśnie być powinno. Uspokojona przysiadłam obok na ławce i zasłuchałam się w beztroskie trajkotanie dzieci. Wyglądały jak dwa koliberki, machające szybko skrzydełkami, rozrzucające wokoło intensywne barwy turkusów i szmaragdów. Wsłuchiwałam się w każde słowo, wyłapywałam najsubtelniejsze dźwięki czarujących treli, nagle jednak uświadomiłam sobie, że nic nie rozumiem. Pojmowałam całą duszą osobliwość ich spotkań, ale umysł nie chciał pojąć tego, co się dzieje i tego, co być może powinnam wreszcie usłyszeć. Przecież chłopca znałam już od dosyć dawna, a moja mała Lilijka, miałam wrażenie, od jeszcze dłuższego czasu. Tylko jak to możliwe?

Córeczka włożyła nagle w moją dłoń rączkę melancholijnego chłopca i, wraz z niespotykanym dotąd ciepłem, poczułam równocześnie bezgraniczny smutek. Patrzył na mnie spokój nocnego morza, w którego głębinach tliły się gwiazdy przyklepione przez niebo. Zerknęłam w oczy mojego dziecka i zobaczyłam drugi morski pejzaż. A w nim uśmiech i słodką jasność, podczas gdy u chłopca - ukryty gdzieś w odmętach wody żal, ból i zagubienie. Jakby ktoś porzucił go już dawno temu i nie zamierzał odnaleźć.

Stopniowo zaczęłam przywiązywać się do przyjaciela córeczki, a on coraz częściej bywał na placu zabaw i nie czekał już, jak niegdyś, w piaskownicy, lecz biegł ku nam z pogodnym wejrzeniem. Zaczęłam nawet za nim tęsknić, gdy dzień mijał bez nostalgicznego uśmiechu i kiedy nie znajdowałyśmy go w tradycyjnym już miejscu.

– Nie widziała pani może takiej małej, drobnej blondynki?

Spojrzałam po raz kolejny w twarz zagadkowej kobiety. Była bardziej szara niż ostatnio, bardziej znużona i posępna. Uzmysłowiłam sobie, że podczas każdego spotkania jej głos staje się cichszy, a postać silniej skurczona i jakby wypłowiwała, ponadto skojarzyłam, niejako mimochodem, że nadal nie mam pojęcia, jakiego koloru są jej oczy, błędząc w niejasnym przeczuciu, że stają się coraz ciemniejsze, bardziej zgnębione i swą melodię zaczęły już w nich wygrywać pierwsze nutki prawdziwego szaleństwa. Przystanęłam więc raptownie, by zajrzeć w sam środek tajemnicy. Zadrżałam. Wolałabym nigdy nie spojrzeć w te oczy!

Pobiegłam po córkę szybciej jeszcze niż zwykle. Już nawet nie musiałam wchodzić do budynku, gdyż oboje siedzieli na jednej huśtawce i machali do mnie na przywitanie. Radośnie majtali nogami, śmiejąc się głośno. Ale oczy mojej córki nie były już tak jasne. Im bardziej gasły gwiazdy w jej spojrzeniu, tym intensywniej błyszcząły oceany chłopca. Uśmiechnęłam się ciepło, całując włosy na czole Lilijki.

– Mamusiu, nie widziałas może takiej smutnej pani?

Zdrętwiałam. Przeważenie pochłonęło mnie całkowicie. Panika zmroziła nogi, które zastygły w bezruchu, a ja nie byłam w stanie oderwać ich od ziemi.

Kiedy wreszcie oprzytomniałam, porwałam córeczkę na ręce i czym prędzej rzuciłam się do ucieczki. Zdążyłam jeszcze zauważyć bezgraniczny ból w oczach chłopca, ból, który na zawsze miał już tam pozostać.

Desperacko pędziłam na oślep, oby jak najdalej od dojmującego przerażenia zniewalającego ciało, myśli i umysł. Odwróciłam jeszcze głowę. Stał. Tak samotny i bezbronny. Oczy przygasły. W niewolniczym

amoku znowu zaczęłam biec, by schronić się nareszcie w bezpiecznej otchłani kamienicy, wtem jednak poczułam szarpnięcie, jakby czyjaś twarda i silna dłoń popchnęła mnie w przeciwnym kierunku. Nie zastanawiając się dłużej, chwyciłam chłopca za rękę i pociągnęłam za sobą. Skryłam się w domu wraz z dwoma małymi istnieniami, których oczy zaczęły przepęłniać mnie coraz większym niepokojem.

Lilia gasła. Jej przyjaciel promieniał. Ileż razy próbowałam wyrzucić chłopca z naszej przystani, ale coś, czego nazwać nie potrafiłam, wstrzymywało każdy krok skierowany przeciw niemu. Tkwiłszy w czarnym, zimnym i wilgotnym bunkrze domniemanego schronienia, a moje dziecko umierało. Wyszepało jeszcze któregoś ranka: „Janek”, i opadło bezsilnie na poduszkę.

Czterolatek czuwał przy niej niezamordowanie, oczy skrzyły się perłami, opadającymi obficie na bezwładne ciało najdroższej mi istoty, a ich blask nikał niemal natychmiast po dotknięciu delikatnej skóry. Jednak z jakąś niezrozumiałą dla mnie siłą trzymał ją przy życiu, wyszarpywał śmierci i walczył o duszę. Czasem patrzył na mnie przeciągle, wnikając głęboko, jak niegdyś Lilijka.

Strach tłamsił wszystko, czym byłam, trwoga ścisnęła kurczowo każdy mięsień, by w końcu powalić na ziemię, a córce odebrać szansę na przetrwanie. Wyczerpana, nie potrafiłam podźwignąć nawet powieki. Nie wiem, jak długo trwałam w otępieniu. Ale któregoś wieczoru poczułam, że Janek unosi moją głowę, a potem, z jakąś nadludzką determinacją i siłą, której nigdy nie pojmę, przeciąga ku córce.

Leżała niczym filigranowa laleczka z porcelany – bez ruchu i oddechu. Na chwilę otworzyła oczy, a ja ujrzałam w nich wszystko. Ciemne, już bez migoczących punkcików, kwiliły smutkiem i nadchodzącym nieistnieniem.

Poderwałam się z podłogi ubrana w nowe siły i, tuląc chłodne ciało córki, która była dla mnie całym życiem, stanęłam w progu. Wiatr prawie zdmuchnął nas ze schodów, jakby chciał przyspieszyć niepewne kroki, zatraskując równocześnie otwarte na oścież drzwi, te zaś zamknęły się z potwornym hukiem budzącym już wszystkie, uśpione koszmarem, zmysły.

Ścisnęłam drobne ciało tak silnie, że krew poczęła w nim drgać silniejszym rytmem, a skupione na mej twarzy oczy uśmiechały się z lekka, mówiąc wszystko, co pragnęłabym usłyszeć. Skręciłam na pełną ścieżkę, zewsząd otoczyły nas poplątane krzewy i wybujałe zielska. Nasza ulubiona droga do przedszkola... Wiedziałam, że idziemy nią ostatni raz... Stąpałam powoli, zamknięta w pragnieniu, by pozostać tu na zawsze – z moją najdroższą kruszyną. Spoglądając przed siebie, błagałam, by okazało się, że nie mam racji i wszystko jest urojeniem przewrażliwionego umysłu. Stanęłam w połowie drogi i patrzyłam przed siebie, trzęsąc się jak w malignie, nie potrafiąc zapanować nad samowolnymi uczuciami, które brutalnie rozpychały każdy zakątek mojego bytu, przekształcającego się stopniowo w nicość.

Stała tam. Na skraju naszej ścieżki. Nie ruszyła się z miejsca, jak zawsze. Czekwała. A ja myślałam tylko o ponownej ucieczce, która byłaby przecież – teraz już to wiedziałam na pewno – śmiercią dla mojego dziecka. Jaśniejące oczy Lilijki zaczęły prowadzić mnie ku kobiecie, stanowiącej dla mnie w tej chwili uosobienie zła i mej zrozpaczonej hysterii.

Tkwiłyśmy naprzeciw siebie, jej oczy dziękowały, moje – nienawidziły. Wyciągnęła ręce, ale odsuwałam się do tyłu, aż plecy natrafiły na pień drzewa. Podeszła, by dotknąć Lilijki, i zobaczyłam, jak oczy małej jaśnieją, a gwiazdy poczynają perlic się niczym rosa o poranku. Pozwoliłam odebrać sobie całe życie, czułam, jak kobieta odrywa powoli, lecz stanowczo, każdą cząstkę mojego ciała, jak rozrywa na strzępy duszę, a serce, oszalałe w nieokiełznanym buncie, objęła się o kontury ciała.

Odchodziły, a ja patrzyłam niczym opętana bestia, szamocząca się sama w sobie i rozdierająca się od wewnątrz, z oczyma utkwionymi w jeden punkt. Ciało nie było w stanie pomieścić tyle rozpaczy, zaczęło dygotać, czułam, jakby miało zaraz rozerwać się na kawałki, prężąc się w niemocy.

Dziki skowyt, jaki wydobył się z mojego gardła, gdy zobaczyłam kobietę z ukochaną Lilijką znikającą pośród drzew w mglistej poświacie wieczoru, rozszarpał na strzępy serce, duszę, ciało. Upadłam na kolana, uderzając głową o twarde podłoże, płacząc i wijąc się w cierpieniach, których nie miałam już siły przetrwać. Spazmy wstrząsające resztkami ciała i krzyki raz po raz wyrrywające się w spokojną ciszę

nadchodzącej nocy przygniotły mnie do ziemi, z której nie chciałam już powstać. Ból smagał bez litości i jedyne, o czym potrafiłam myśleć, to o jak najrychlejszej śmierci, bo pewna byłam, że przyjść musi, nie wyobrażałam sobie bowiem, jak mogłabym przeżyć taki bezmiar roztrzęsionego bólu, który zniszczył wszystko poza sobą samym.

Wtem poczułam dziwne ciepło w dłoni. Jak niegdyś, kiedy pierwszy raz dotknęłam rączki małego Janka. Uniosłam głowę i ujrzałam rozgwieżdżone niebo. Chłopiec uklęknął, by opowiedzieć mi historię drobnej istotki, która zjawiała się w pustce nieszczęścia matki, wiedząc, że kiedyś będzie musiała odejść.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Wasinka, dodano 30.08.2010 09:17

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).